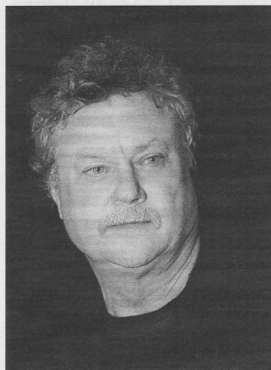


REPORTER KTÓRY GONI MARZENIA

Stanisław Stolarczyk



Jak to dobrze, że istnieje wśród nas ludzie, bez których życie byłoby nudne – oni wnoszą w nasz świat dynamizm i determinację, związaną z nieustannym dążeniem do realizacji swych umiowań. Właśnie owo dążenie, które ich stale mobilizuje, stanowi naczelny imperatyw ich życia, na tyle silny, że podporządkowują mu wszystko...

Spotkałam w Kanadzie takiego człowieka i o nim będzie moja opowieść.

xxx

Dla Stanisława Stolarczyka wszystko zaczęło się od czytania książek podróźniczych i harcerstwa, choć w Polsce czasy były niełatwe, bo komunistyczne. Ale on na przekór temu, nie był harcerzem „czerwonym” bynajmniej, kochał harcerstwo w duchu patriotycznym o rodowodzie Szarych Szeregów. W tym czasie jego pasją było zbieranie wszelkich dostępnych danych o Powstaniu Warszawskim, rozczytywał się w „Kamieniach na szaniec”, czy w książce: „Zośka i Parasol” Aleksandra Kamińskiego. Z czasem został jednym z najmłodszych podharcemistrzów w Chorągwi Mazowieckiej, a w latach dorosłych założył drużynę harcerską i nadał jej imię swego ulubionego bohatera z czasów Powstania Warszawskiego, Jana Kajusa Andrzejewskiego, harcemistrza, dowódcy Oddziału Dywersji „Broda 53” Kedywu (Kierownictwo Dywersji Komendy Głównej Armii Krajowej), który poległ 31 sierpnia 1944 roku w walce na Starym Mieście, podczas próby przebicia się ze Starówki do Śródmieścia. „Kapitan Jan”, bo tak się zwracali do niego żołnierze, miał wówczas tylko 31 lat, a już za swoje bohaterskie czyny odznaczony został orderem Virtuti Militari V klasy oraz trzykrotnie Krzyżem Walecznych... To był wielki idol młodego Staszka Stolarczyka...

W liceum polonistka widziała go w szkole aktorskiej, a ponieważ był dobrym sportowcem, nauczyciel wychowania fizycznego radził mu iść na Akademię Wychowania Fizycznego, chemik i fizyk doradzali politechnikę... Wybrał jednak Wydział Geologii na Uniwersytecie Warszawskim, aby później po obronie pracy dyplomowej... zostać dziennikarzem. W czasach studenckich fascynował się Studenckim Teatrem Satyryków, pisał wiersze, opowiadania. Przyświecała mu poezja Stachury, Herberta, Harasymowicza, Nowaka, Różewicza... W ogóle młodość była górna i durna, jak na prawdziwą młodość przystało...

– Długo nie postudiowałem... – śmieje się – w marcu 1968 roku, będąc na pierwszym roku zostałem relegowany ze studiów – jak to się wtedy „ładnie” nazywało – co w potocznym języku oznaczało : wyrzucony. W dniu 8 marca, a więc w Dzień Kobiet najpierw przed uniwersytecką bramą dostałem kilka razy milicyjną pałą, później udało mi się przedrzeć na Wydział Geografii i tam, na balkonie wraz z innymi skandowałem: „Gestapo, gestapo!”

I wreszcie uczestniczenie w strajku na Uniwersytecie... Wtedy też zwątpiłem w uczciwość zawodu dziennikarza. W mediach przedstawiani byliśmy tak, jak tego życzyła sobie władza, a więc jako rozrabiająca banda „warchołów” i „młodzież bananowa”. Przysnam, że byłem wówczas jednym z tych, którzy skromne studenckie stypendium przeznaczyci na wykupywanie z kiosków „Trybuny Ludu” i „Życia Warszawy”, aby je później palić na placu przed Politechniką Warszawską skandując: „Prasa kłamie, prasa kłamie...”.

Staszek Stolarczyk był jednym z pięciu studentów Wydziału Geologii, których wyrzucono za tzw. zajęcia marcowe. Wszystkim wręczono wezwanie na komisję wojskową, wszystkich jednak bronili ich profesorowie i asystenci, którzy nie tylko, że nie wyrzucali „relegowanych” z wykładów czy ćwiczeń, ale namawiali ich do udziału w zajęciach. Kiedy więc po kilku miesiącach przywrócono im prawa studenckie, nie stracili roku nauki.

Po obronie pracy dyplomowej młody magister geologii z czasem ukończył Studium Turystyczne w Instytucie Turystyki w Warszawie i podyplomowe Studium Dziennikarskie w Stowarzyszeniu Dziennikarzy Polskich.

Jako zapalony turysta na własnych nogach z plecakiem zwiedził całą Polskę, pisał przewodniki turystyczne po Roztoczu, Podlasiu... Ciągłe wrażał jednak w Tatry, które do dzisiaj uważa za najpiękniejsze góry świata. Ciągnęło go też w góry Europy. Łatwiej zresztą wymienić, gdzie tego urodzonego wędrownika, żadnego przygód, nie ciągnęło...

Dlaczego akurat góry? Choć związany z Warszawą, swój rodowód widzi nie gdzie indziej, tylko na Podhalu właśnie.

– Chociaż jestem „cepre”, to ta moja wielka miłość do gór i górali chyba gdzieś i kiedyś w genach została zapisana – śmieje się.

Warto podkreślić, że na Podhalu wielu górali nosi nazwisko Stolarczyk, pierwszym proboszczem Zakopanego też był Stolarczyk – ksiądz Józef Stolarczyk, a między Baraniami Rogami a Czarnym Szczytem w Tatrach istnieje Przełęcz Stolarczyka, położona na wysokości 2370 m n.p.m...

Najważniejsze, że górale uznają Staszka za swego, mówią: – „Stasek! Ty to nas!” On też czasami stara się rozmawiać z nimi po góralsku, uwielbia góralszczyznę, jest serdeczny, ale i jak góral „honorny”, (po ludziach, którzy go poważnie zawiedli „spuszcza wodę” raz na zawsze), ceni góralski humor i stosunek do życia. Kocha góry nade wszystko i uważa, że „piękniejsze od gór są tylko te góry, w których jeszcze nie byliśmy” (jak śpiewał Włodzimierz Wysocki).

Miał zawsze szczęście do ludzi i los nie poskąpił mu prawdziwego mistrza zawodu, wybitnego dziennikarza międzywojennego i powojennego, Stanisława Poznańskiego (ojca prof. Kazimierza Poznańskiego), który zawsze zwracał się do niego: „synku”. Będąc młodym reporterem zawsze po napisaniu tekstu dawał mu go do przeczytania, a mistrz serdecznie, acz bezwzględnie, niemal jak



Stanisław Stolarczyk wręcza Kardynałowi Dziwiszowi album „Papa, we remember You...”, poświęcony Janowi Pawłowi II, wydany przez firmę „Fakty”

ojciec, szlifował jego sztukę reportażu. Poznański sam będąc twórcą Muzeum Hymnu Narodowego w Będminie, o którego powstanie przez wiele lat walczył na łamach prasy bardziej przykładem, niż słowem, wpajał adeptowi dziennikarstwa świadomość, że najważniejsze – utrwalać polskość. A to przekonanie Staszek nosił już w sobie od czasów harcerstwa.

xxx

Po najróżniejszych kontaktach z warszawskimi redakcjami poważną i etatową pracę dziennikarską zaczął w miesięczniku turystyczno-krajoznawczym „Gościńiec”, którego wydawcą było Polskie Towarzystwo Turystyczno-Krajoznawcze. Chciał być reporterem, a został... sekretarzem redakcji. Ruszał jednak w Polskę, by odkrywać nieznanne. Zawsze lubił chodzić mało utartymi szlakami. Kiedy zafascynowały go mniejszości narodowe i grupy etniczne w Polsce – napisał cykl reportaży o Karaimach, Tatarach, Bambrach, Flamandach, Morawianach... To była jego „Polska mało znana”, za którą otrzymał drugą nagrodę Stowarzyszenia Dziennikarzy Polskich za najlepsze publikacje roku 1980 (reportaże te zostały wydane przez Uniwersytet Warszawski).

Współpracował też z telewizją. Zrealizował program o polskich Tatarach, zauroczył się też odbywanym corocznie, od XVI wieku, w okolicach Radomska tradycyjnym widowiskiem ludowym

„Ścięcie śmierci”, związanym z odejściem zimy – otrzymał z telewizji dwa wozy transmisyjne i uchwycił ten unikalny ludowy teatr, przedstawiający sąd nad śmiercią, w pięknym, 45. minutowym reportażu...

Taki był zawsze i pozostał do dziś: wszystko musi chwycić na gorąco, nie zza biurka, ale by pogłębić temat namiętnie grzebie w archiwach, bibliotekach krajowych i zagranicznych. Był już w Polsce wziętym reportażystą, gdy emigracja przyszła, całkiem niespodzianie, można rzec, banalnie...

Wspólnie z Januszem Rygielskim zamieszczał na łamach „Gościńca” teksty pod tytułem „W górach Europy” (wydawnictwo Sport i Turystyka miało wydać książkę), a ponieważ nie opuszczała go myśl o wyprawie w opisywane góry, w 1981 roku wyjechał do Londynu i w góry Szkocji, gdzie zdobył najwyższy szczyt Ben Nevis, który wznosi się na wysokość 1344 m n.p.m. i góruje nad doliną Glen Nevis. Marzyła mu się jednak Islandia... A tu z Polski przyszła wiadomość o stanie wojennym. Zawitał więc do ambasady Kanady w Londynie i tak... przedzierzgnął się w reportera-emigranta, a nie jest to łatwy los, bo już Janusz Głowacki zauważył, że pisarz na emigracji traci wszystko oprócz akcentu. Stolarczykowi udało się nie stracić, dlatego, że dla niego dziennikarstwo i pisarstwo jest sposobem na życie w stylu polskim, gdzie by się nie pojawił.

Mieszkając w Kanadzie, aby jakoś wiązać koniec z końcem, chwycił się najróżniejszych prac fizycznych. Pozostał jednak wierny dziennikarstwu, był korespondentem „Ekspresu Wieczorne-go” w Warszawie i „Związkowca” w Toronto. Miał zawsze stały kontakt z kolegami po piórze...

xxx

W Kanadzie jego największą pasją stało się opracowanie dokumentacji polskich śladów, w tym ginących polskich cmentarzy i kościółków. W realizacji tego zamierzenia bardzo pomogła okoliczność, że Stolarczyk będąc w 1984 roku pracownikiem Polonijnego Komitetu Przyjścia Jana Pawła II w Kanadzie, był odpowiedzialny za kontakty z prasą polonijną, radiem i TV. Bacznie śledził wszystkie spotkania papieża z mieszkańcami Kraju Klonowego Liścia. Podczas tej jednej z najpiękniejszych pielgrzymek, Jan Paweł II z powodu mgły nie dotarł do Fort Simpson na spotkanie z Indianami i Inuitami. Wtedy też w Yellowknife złożył obietnicę, że przy najbliższej sposobności odwiedzi ich za Kręgiem Polarnym nad rzeką Mackenzie. Staszek dość dobrze zakodował sobie tę wiadomość...

W 1987 roku na to obiecanie spotkanie Jana Pawła II (na marginesie pielgrzymki do USA), Staszek załatwił sobie akredytację dziennikarską i jak to określił: „wyrzucił kalendarz i ruszył w trasę”.

– Moim głównym celem był Fort Simpson i spotkanie z papieżem – mówi. – Przy okazji, bo przecież aby tam dotrzeć z Ottawy, trzeba było przejechać niemalże przez całą Kanadę, dokumentowałem polskie ślady. W zrealizowaniu tych zamierzeń bardzo pomogła mi prestiżowa organizacja The Royal Canadian Geographical Society, której byłem wówczas stypendystą i opracowywałem dla nich temat: „The Polish Geographical Names in Canada”, czyli „Polskie nazwy geograficzne w Kanadzie”...

Staszek, jak przystało na rasowego reportera, ruszył w teren. Trzy i pół miesiąca spędził w podróży. W prowincji Quebec dotarł nad brzegi jezior: Matejko, Moniuszko, Chopin... nad rzekę Mickiewicz, Skarga... W Manitobie – do miejscowości: Prawda, Polonia, Wisła, Narol, Zbaraż, Komarno. W Saskatchewan odwiedził: Tarnopol, Dobrowody, Kowalówkę, Ramę... W Albercie – Zawale, Koperniki, był też w Krakowie... Wdrapał się na wzgórze Kopernik w Górach Kaczyc... a w dzikich i zalodzonych górach Selkirk w Kolumbii Brytyjskiej spenetrował masyw Warszawa.

Mówiąc o swej obsesji docierania do polsko brzmiących miejscowości, gór, jezior i rzek, zadaje mi podchwytliwe pytanie:

– Jak myślisz, ile polskich nazw, oficjalnie naniesionych na mapy, odkryłem w Kanadzie?

Myślałam, że ze czterdzięci, a on z dumą wykrzyknął:

– Przeszło trzyta!

xxx

W tych polsko brzmiących miejscowościach w Manitobie, Saskatchewan, w Albercie zastawał bardzo często opuszczone, zniszczone kościołki, zbudowane przez polskich farmerów, z polskimi modlitewnikami w ławkach, ze świętymi obrazami przywiezionymi tu z Kresów, a obok kościołów – polskie cmentarzyki, które uważa za szczególnie ważne ślady historii polskiego osadnictwa... Dokumentował to wszystko: opisywał, fotografował.

W sumie dotarł do przeszło siedemdziesięciu polskich cmentarzyków, rozsianych w prowincjach: Manitoba, Saskatchewan, Alberta, Ontario, Quebec – tam, gdzie pierwsi polscy osadnicy wznosili chaty, karczowali lasy, orali wyrwaną spod korzeni ziemię...

Znamienne, że pies Staszka, owczarek niemiecki „Nora”, z którą odbył jedną z większych wypraw, okazała się tak mądra, że nigdy nie przekraczała progu cmentarza – sama zatrzymywała się nieodmiennie przed bramą i zawsze czekała na jego powrót. Czasami nie zdajemy sobie sprawy z głębokiej mądrości naszych czworonogów.

W miejscach pochówku Polaków, zastawał pochylone ze starości krzyże, w gęstych okowach zielska i dzikich krzewów – połamane i spróchniałe tablice...

– Te cmentarze giną! – wołał po powrocie. – Polonia gdzieś goni za dolarami, żyje dniem dzisiejszym – i odcina swoje korzenie. Tymczasem chcąc zachować tożsamość musimy chronić przeszłość! Plonem tych wypraw i tych gorzkich refleksji była wystawa jego zdjęć „Raport o polskich cmentarzach w Kanadzie”, prezentowana między innymi na Katolickim Uniwersytecie w Lublinie i w Duszpasterstwie Środowisk Twórczych w Warszawie.

W jednym z wywiadów, udzielonych „Słowu Powszechnemu” powiedział: „Dzisiaj nagrobki i krzyże, będące świadkami wychodźstwa i tułacznych losów Polaków, obrastają miast legendą – zieleń”. Udowadniał, że „udokumentowanie spisu naszego polonijnego dziedzictwa – to powinność, zadanie na dziś – jutro może być za późno”. Przypominał napis z zakopiańskiego cmentarza na Pęksowym Brzysku: „Narody, które tracą pamięć, tracą życie”.

Ostatecznie z tych wędrowek, dokumentujących polskie cmentarze i groby powstaje książka-album dwujęzyczny, zawierający setki zdjęć – „Historia Polaków w Kanadzie grobami znaczona”.

Jest w Kanadzie wiele miejsc, gdzie pozostał niezatarty ślad polskość. Stolarczyk zafascynowany szukaniem Polski w tym kraju postanowił odnaleźć te wszelkie możliwe polskie drogi i ścieżki, choćby te najmniejsze... Dzisiaj część jego dokumentacji poloników, w tym zdjęcia i opisy (kościółki, cmentarze, pomniki, domy polskie, tablice pamiątkowe, etc.) znajduje się na stronie internetowej www.polishheritage.ca, stworzonej dzięki Kongresowi Polonii Kanadyjskiej. Staszek jest koordynatorem tej jedynej i jak dotychczas największej na świecie strony poloników w Kanadzie.

xxx

Reporterkę Stolarczyk zawsze miał we krwi. Gdy Kanada, ten wielki i nieznany kraj stanął przed nim otworem, nigdy nie jechał gdziekolwiek w teren biernie wypoczywać: zawsze brał z sobą magnetofon, dwa aparaty fotograficzne, by nie ominąć żadnej okazji „schwywania życia na gorąco” – bo temat czeka na nas wszędzie. A Kanada stała się dlań prawdziwą kopalnią tematów i zdumiewających odkryć...

Ten kraj, uznany za raj na ziemi, rozciągający się między dwoma oceanami, przekraczający pięć stref czasowych, obfitujący w tysiące (a nawet podobno miliony) jezior, będący schronieniem



Stanisław Stolarczyk fotografuje

i nową ojczyzną dla wszystkich nacji świata, bywa, być może, czyściem dla emigranta, ale na pewno jest Mekką dla reportera. I tu Staszek poczuł wiatr w żagle. Plonem dociekliwych peregrynacji reporterskich stała się jego książka „Przepustka do rajcu”. Podtytuł: „Notes kanadyjski” definiuje postawę tego pisarza-podróżnika, który stara się na gorąco uchwycić bogactwo barw Kanady i sprawy, które nurtują jej mieszkańców. Pokazuje niezwykle, dzięki i zadziwiające miejsca, owe królestwa bobrów, pstrągów i łososi, ojczyznę Inuitów na dalekiej Północy, sny o wolności Indian, separatystyczne marzenia Quebecu, kolonialną przeszłość Kanady i jej walkę

o niezależność, gusta Kanadyjczyków i ich upodobania. Wszystko tu warzy się i wrze jak w tyglu...

A oto przykład jego reporterskiego podejścia: będąc na dalekiej północy Kanady, nad rzeką Klondike w Jukonie, wspomina niesamowitą przeszłość tego terenu, gdzie pod koniec XIX wieku, w związku z największą w dziejach świata, szaloną i morderczą gorączką złota urosło jak na drożdżach miasteczko Dawson City. Pokazuje hordy poszukiwaczy złotego kruszcu, awanturników najróżniejszego autoramentu z całej Ameryki, porzucających kraje, domy rodzinne, bliskich – by za wszelką cenę się wzbogacić (w samym tylko 1898 roku przybyło tu 20 tys. ludzi!), co powodowało tysiące ofiar i straszliwą klęskę głodu. Cytuje wiersze poety tamtego czasu, Roberta Service, który pisał: „Nie ma litości, ludzkości, kamractwa. Nic tylko bluźnierstwo, szaleństwo, bezwzględny upór”.

Reporter potrafi, nie tylko opisać gorączkę złota, ale odkrywając przy tym nieznanne karty Kanady – sam dać próbkę współczesnej „gorączki złota”. Staszek staje się oto na kilka dni poszukiwaczem złota w Dawson City i zastanawia się nawet nad wykupieniem działki rządowej, a w 100. lecie „Klondike” odnosi nawet swoisty sukces. Bierze udział w mistrzostwach świata poszukiwaczy złota i zajmuje w kategorii amatorów czternaste miejsce. Wyplukuje siedem ziarenek złotego piasku...

Dlaczego poświęcam tyle miejsca jednemu rozdziałowi książki „Przepustka do rajcu”? Bo jest to przykład znakomitej sztuki reportażu.

Obok egzotyki Kanady pojawiają się spokojne reportaże o cukrowych jej lasach, o problemach związanych z bezrobociem, o „welfrowcach na wczasach” czyli ludziach żyjących z zasiłków, danych im przez kanadyjskie państwo, o biedzie poetów, dramaturgów i prozaików w Kraju Klonowego Liścia... Nie wszystkie rozdziały mają tę siłę wyrazu, co „Złoto Klondike”, niektóre po prostu stanowią rodzaj „przepustki” do wiedzy o Kanadzie. Ale we wszystkich ukryta jest reporterska pasja i wielka ciekawość świata. A że ciału najbliższa koszula, jeden z rozdziałów książki autor zatytułował: „Nasi” – i już wiemy, że jest to rzecz, między innymi, o Kaszubach ontaryjskich...

Mieszkając w Ottawie zaczął robić cotygodniowe niemal wyprawy na Kaszuby ontaryjskie i tu znalazł to, czego tak naprawdę poszukiwał: ostoję polskości. Bo Stanisław Stolarczyk w Kanadzie po dawnemu pozostał nie żadnym tam obywatelem świata, lecz krajanem. Po wielu latach pobytu na emigracji mówi o sobie: dalej jestem „Polok-wsiok”, i chyba nie ma w tym przesady, bo on w najdalszych zakamarkach północnej Ameryki swojej Polski szuka. To znaczy spuścizny po tych, co przybyli pierwsi i po których zostały choćby skrawki polskości, ukryte w nazwach miejscowości, jezior, gór, no i oczywiście w tym, co emigranci znad Wisły potrafili na amerykańskim kontynencie narodowego zbudować czy ocalić...

A na Kaszubach ontaryjskich, gdzie pierwsi osadnicy z polskich Kaszub przybyli i zaczęli karczowanie lasów w 1859 roku, by wzniesić swe ubogie chaty, reporter znalazł – jak to określa – „Małą Polskę kanadyjską” – nie tylko z nazwy, ale tak podobną pod względem krajobrazowym: kryształowo czyste jeziora i nieskażone żywiczne lasy, a do tego polskie kościoły i kapliczki na rozstajach dróg, krzyże...

– Pamiętam, kiedy po raz pierwszy odwiedziłem Kaszuby i zatrzymałem się w Wilnie, odwiedziłem kościół pod wezwaniem Matki Boskiej Królowej Korony Polskiej z wierną kopią obrazu Czarnej Madonny, której ofiarodawcą był przed wojną sam prezydent Rzeczypospolitej Polskiej, Ignacy Mościcki, trąfitem do drewnianej świątyni Matki Bożej Anielskiej z figurką patronki kaszubskich rybaków znad Bałtyku, do „Katedry pod sosnami”, gdzie wówczas Mszę św. odprawiał nieżyjący już dzisiaj ks. Rafał Grządziel. Moje zauroczenie tym zakątkiem Kanady rosto wprost proporcjonalnie do jego poznania, bo tu nie trzeba iść tylko tropem polskich śladów począwszy od połowy XIX wieku. Współczesność aż kipi od polskości: polskie pieśni wiatr niesie daleko z ognisk na harcerskich obozach, a miejscowi – piąte, a nawet szóste pokolenie dawnych polskich osadników mówi po polsku i zachowuje stare tradycje...

Ile wspaniałych Polaków związało swoje życie z Kaszubami? Wśród nich prawdziwe indywidualności, jak wspomniany ksiądz Rafał Grządziel, o którym Stolarczyk zebrał nawet materiały do oddzielnej książki, czy światowej sławy pilot-oblatywacz, Janusz Żurkowski... Listę można by wydatnie wydłużyć...

I tak w 2002 roku powstał kolejny „Notes kanadyjski” Staszka Stolarczyka, czyli książka: „Gdy wspominam Kaszuby” (II wydanie: „Kaszuby – mała Polska kanadyjska”, 2008), zapoczątkowana najpierw długotrwałym grzebaniem w bibliotekach w Gdańsku i Ottawie na temat wychodźstwa Kaszubów i ich wędrówki do Kanady, a potem stałym kącikiem w „Związkowcu”. Motto tej książki wybrał autor z Norwida. Oto fragment:

*„Aniele! Ty sprawuj nad nami z wysoka
Ty mary bolesne porażaj skinieniem,
Bo biedni my, niknąc dzień po dniu sprzed oka,
My ludzie – zaledwo jesteśmy wspomnieniem...”*

Znamienne, że pisząc o Kaszubach ontaryjskich nasz reportażysta raz po raz sięga do skarbcza naszej poezji, w tym między innymi: do Lechonia, Wierzyńskiego, Tetmajera, Gajcego, a także poetki emigracyjnej, Tamary Hetmańskiej. Może dlatego, że tchnienie poezji jest w owej krainie tak silne, iż inaczej o niej pisać się nie da... Stolarczyk cytuje też zapalonych i znanych polskich działaczy harcerskich w Ontario, takich jak hm. Barbara Głogowska, Krystyna i Jerzy Burscy, czy niezapomniany Stanisław Orłowski, którzy wspominają pierwsze harcerskie zloty i obozy na Kaszubach.

Temperatura uczuć narbowych tak rośnie w owej zaczarowanej krainie, noszącej przedziwną nazwę Kaszuby, a stanowiącej jakby kwintesencję Polski, w Kanadzie, że kto zgadnie: czy tu Polska czy Kanada? Na pewno duchowo – Polska...

xxx

Sam autor tak się w polskość w Kanadzie zagłębił, że znalazł się chyba w szponach potężnej tęsknoty za krajem zwanej nostalgia, bo nie wytrzymał, spakował się i wrócił do Polski, do swojej ukochanej Warszawy, dalej współpracował z „Ekspresem Wieczornym”, jako reporter szukał poniemieckich skarbów, pisał książki i, jak mówi, doskonale się odnalazł...

Staszek poprzez ów powrót uświadomił sobie tę trudną prawdę, że ojczyznę ma się jedną tak jak matkę i jest nią Polska, ona w sercu mieć zawsze będzie miejsce pierwsze. I było dobrze, ale nie zauważyć kiedy poczęła pojawiać się z kolei tęsknota za Kanadą... Przyjechał więc ponownie do Ottawy i znowu zapuścił tu korzenie, a kiedy urodzili mu się synowie, jako miejsce swojego osiedlenia wybrał Kanadę, chociaż prawie każde wakacje spędza z nimi w Polsce.

W Kanadzie żyje tak, jakby był w kraju, szukając w sercach ludzi, w krajobrazach i miejscach rozsiansych po ogromnych, niezmiernych przestrzeniach północnej części tego kontynentu – Polski, która poprzez pokolenia emigrantów odcisnęła tu swoje piętno. To stało się jego powołaniem.

xxx

Pasjonuje go przygoda przez duże „P”, bo wyzwalająca się adrenalina działa dopingująco i energotwórczo. A to była Wielka Przygoda! Odbył cztery wyprawy po kontynencie. Pierwsza – ponad 30 tysięcy kilometrów, czyli, jak sam obliczył, przeszło pół obwołu kuli ziemskiej. Później była druga, trzecia... Odwiedził wszystkie prowincje i terytoria, przejechał transkanadyjską „jedyneką” od Atlantyku po Pacyfik, czyli „Alaską Highway” i poleciał... jak najdalej na Północ.

– W 1995 roku cała Polska żyła wyprawą polarną Marka Kamińskiego i Wojtki Moskala na biegun północny, bo przed nimi żaden Polak nie stanął w tym geograficznie magicznym miejscu. Z naszymi polarnikami spotkałem się w Ottawie, przed ich odlotem do Resolute Bay, małej miejscowości w kanadyjskiej Arktyce, skąd mieli dalej przelecieć do Eureka i stamtąd wystartować na biegun. Przyznam, że jakoś trudno mi było sobie wyobrazić, że jeden chudy, tyczkowaty, drugi misiowaty – pokonają zamrznięty ocean na nartach i dotrą do bieguna. Nie wiem dlaczego, ale jakoś nie mogłem uwierzyć w ich zwycięstwo. Chociażby dlatego, że postawili sobie niezwykle ambitny, wtedy wydawało mi się „lekkomyślny” cel zdobycie bieguna, bo bez żadnego wsparcia z zewnątrz. Może dlatego też, że zbyt dużo naczytałem się historii o najroźniejszych tragediach na Północy. Nasi polarnicy byli z kolei absolutnie pewni, że biało-czerwona flaga zostanie przez nich zatknięta na biegunie. Od słowa do słowa i założyliśmy się o szampana. Pamiętam, że Marek nawet określił, jaka to ma być butelka: „Taka duża, jaką oblewają się na podium zwycięzcy Formuły 1”. Przyklepaliśmy zakład! I od tamtego dnia zacząłem bacznie śledzić każdy ruch naszych polarników i relacjonować w „Ekspreście Wieczornym”... Dojdą czy nie dojdą?

Kiedy już wiadomo było, że polscy polarnicy zdobędą biegun, Stanisław Stolarczyk otrzymał z Warszawy, z redakcji faks, podpisany w dniu 19 maja 1995 roku przez ówczesnego redaktora naczelnego, Krzysztofa Siemińskiego:

„W nawiązaniu do rozmowy telefonicznej zawiadamiam, iż delegujemy Pana na biegun, na spotkanie z polskimi polarnikami, celem wykonania materiałów prasowych dla EW”.

Wytrawnemu reporterowi nie trzeba było tego dwa razy powtarzać. Spakował plecak, kupił obiecane szampana i przez Ziemię Baffina odleciał... jak najdalej na Północ.

– Następnego dnia po moim przylocie na lotnisku w Resolute Bay w Arktyce wylądowali nasi polarnicy, zabrani z bieguna samolotem. Tylko dotknęli ziemi, wręczyłem im list gratulacyjny od ambasadora RP w Kanadzie, Tadeusza Diema oraz wygraną przez nich... butelkę. Zaraz pod skrzydłem strzelił korek... i Marek radośnie oblał szampanem swojego partnera. Wypiliśmy za ich zwycięstwo i szczęśliwy powrót...

W bazie na lotnisku, reporter zabrał się do roboty, przeprowadził obszerny wywiad z polarnikami oraz zrobił pokaźną liczbę zdjęć. Czego tylko brakowało w kadrze, to białej zamarznętej przestrzeni. Tu jednak los się do niego uśmiechnął. Polarnicy zaprosili go na wspólny lot na biegun... magnetyczny. Tam po wylądowaniu na zamarznętym oceanie dorobił kilkanaście ujęć w arktycznym plenerze. Po powrocie do bazy w Resolute Bay, spakował zaraz swoje bagaże i udał się na lotnisko, aby „złapać” jakiś samolot do Ottawy. Kursowy samolot do stolicy Kanady odlatywał dopiero za trzy dni, ale za godzinę startował transportowy boeing do Montrealu. Odnalazł pilota i prosząc dogadał się, że go w drodze wyjątku, zabierze. Z Montrealu w nocy odebrał go przyjaciel, Czarek Stelmaszewski. Dojechali do Ottawy. Tutaj – wywołanie zdjęć, robienie odbitek i... ponownie jazda 180 kilometrów do Montrealu, tym razem na samolot PLL LOT do Warszawy. I znowu – odnalezienie pilota, wręczenie mu odbitek zdjęć polarników, telefon do redakcji... Polscy polarnicy byli jeszcze w Arktyce, a już w „Ekspresie Wieczornym” w Warszawie ukazał się pierwszy w Polsce obszerny materiał z licznymi zdjęciami ze zdobycia przez Marka Kamińskiego i Wojtkę Moskała bieguna północnego.

– Kiedy patrzę jakie są dzisiaj ułatwienia w pracy dziennikarskiej: komputery, aparaty fotograficzne digital, łącza satelitarne, telefony komórkowe, przesyłanie zdjęć przez Internet... to wtedy, aby być pierwszym, i zdążyć przed telewizją (Tomasz Lis, który był wówczas korespondentem TV w Waszyngtonie, nadał relację w dwa dni po ukazaniu się obszernego materiału w „Ekspresie Wieczornym”), to przyznam, że trzeba było się zdrowo naganiać – mówi Staszek.

Dzisiaj Stolarczyk się z tego śmieje, ale nie ma co tu ukrywać, był to jego wielki osobisty sukces, którego mógłby mu pozazdrościć każdy dziennikarz! Zresztą jako reporter bywa tam, gdzie naprawdę coś ważnego się dzieje, a to zaległe spotkanie Jana Pawła II z Indianami i Inuitami, a to obsługa pierwszej wizyty ówczesnego prezydenta RP, Lecha Wałęsy, w Kanadzie, a to oficjalne uroczystości w Jedwabnem w Polsce, czy przejazd jeepami przez Pustynię Solną w Boliwii...

xxx

W swych poszukiwaniach polskich śladów w Kanadzie Stanisław Stolarczyk dotarł do Północno-Zachodnich Terytoriów (które są 13. krotnie większe od Polski) i tu w archiwach dogrzebał się siedmiu polskich nazw, ale to mu nie wystarczyło. Szedł tropami przyjaźni wybitnego polskiego podróżnika, Pawła Edmunda Strzeleckiego i jego związków do słynną tragiczną wyprawą Johna Franklina w Arktyce. Dlaczego? Bo okazało się, że gdy statek wiozący wielkiego podróżnika i jego załogę zaginął w lodach polarnych w 1840 roku, Strzelecki był jednym ze sponsorów wyprawy poszukiwawczej. Szperając w archiwach Staszek odkrył, iż jedna z arktycznych przystani Kanady nosi nazwę „Strzelecki”.

W jego książce: „Gdzie stopy nasze” odnajdujemy smak tych podróży do rozrzuconych po całej niemal Kanadzie miejscowości o polskich nazwach. Zachwylił mnie zwłaszcza rozdział: „Otoczona wodami Columbi”. Otóż w dzikich i zaladzonych górach Selkirk w Górach Skalistych Kolumbii Brytyjskiej Stanisław Stolarczyk, jako rasowy reporter, spenetrował okolice Mountain Warsaw, a więc masywu górskiego Warszawa, pokonując wszelkie przeszkody, wiodące do tej mało dostępnej partii potężnego łańcucha gór. A oto jaki widok na szczyt wyłonił mu się, gdy niemal w ćwierć wieku po Rafale Malczewskim, znanym malarzu i pisarzu, synu wielkiego Jacka, wędrował jego śladami. Cytuję:

„Z dużej odległości zobaczyliśmy masyw Warszawa w całej okazałości. Ogromny, z dwoma wierzchołkami tonącymi w mgłach, przypominał wulkan dymiący, zagubiony w szafirowo-zielonych wodach. I choć spowity w chmurach jeszcze nie odsonił się w pełni, nie pokazał pół śnieżnych i lodowców, kontrastujących z kolorowym zboczem, oczarował nas swoją majestatycznością”.

Okazuje się, że te „polskie góry” mają kilka wierzchołków, a najwyższy, z dwoma szczytami (2520 m.n.p.m.) i dwoma lodowcami – to symbol niezłomności bohaterskiej Warszawy w czasie wojny, bo też nazwa masywu pojawiła się na mapie Kanady 11 marca 1943 roku na wniosek ówczesnego premiera Kolumbii Brytyjskiej. Dla Stolarczyka jest ona dziś hołdem złożonym Powstaniu Warszawskiemu – niemal czuły, jak wiatr gwizdzący na skalnych urwiskach wyczytuje nazwiska tych z „Zośki” czy „Parasola”... Tak były harcerz odebrał ten górski masyw w Kanadzie.

Ale on nie poprzestał na tej patriotycznej refleksji. W 1996 roku zorganizował wyprawę polonijnych górolazów na najwyższy szczyt Moutain Warsaw i zatknął flagę polską, wręczoną mu przez polskiego ambasadora w Ottawie, Tadeusza Diema oraz flagę kanadyjską, która wcześniej powiewała na Wieży Pokoju Parlamentu federalnego, a podarował ją ówczesny senator Stanley Haidasz. Grupa Stolarczyka umieściła ją na szczycie „Warszawy”, a stamtąd flaga powędrowała na Polonijne Igrzyska Zimowe do Szczyrku. Następnie polscy żeglarze wzięli ją w swój rejs do Brazylii... I do dzisiaj kursuje po świecie z polonijnymi sportowcami spod znaku liścia klonowego.

xxx

Kolejne, ważne pozycje wydawnicze Staszka Stolarczyka związane są z Janem Pawłem II. Najpierw była książka: „Hobby Jana Pawła II” (Warszawa 1991 roku), wydrukowana w aż 116 tysiącach egzemplarzy – o turystycznych i sportowych zamiłowaniach Ojca Świętego, która stała się w owym czasie bestsellerem. W ogłoszanej co miesiąc w „Życiu Warszawy” liście księgarskich przebojów znalazła się na pierwszym miejscu w kategorii książek niebeletrystycznych. Było sporo recenzji, wywiadów w prasie, radiu i telewizji, listy od czytelników i miły smak sukcesu wydawniczego. Szczególną zaletą tej książki, obok opisu wyczynów sportowych Jana Pawła II, jest próba analizy poglądów papieża na znaczenie sportu w życiu człowieka i zagrożenia, jakie w tej dziedzinie ludzkiej aktywności niesie cywilizacja konsumpcyjna: o obsesyjnej żądzy zysku do komercjalizacji sportu. Bo przecież sport istnieje w służbie człowieka, a nie człowiek w służbie sportu. Ten wydzwięk książki zasługuje na szczególną uwagę.

Bardzo interesująca okazała się druga, wydana przez Staszka książka, kilkakrotnie wznawiana. „Papież, jakiego nie znamy”. Stolarczykowi udało się wkroczyć w inne, mniej znane rewiry życia Jana Pawła II. Wśród wielu ostatnio wydanych pozycji o Karolu Wojtyła ta książka ma charakter wyjątkowy ze względu na sam temat – mówi o stosunku Jana Pawła II do natury. Papież-Polak każdemu radził: „odnajdywać ślady Boga żywego, odciski nie tylko w majestatycznym pięknie przyrody, ale przede wszystkim w swej nieśmiertelnej duszy”. Te słowa z „Apelu do mieszkańców Europy”, wygłoszonego przezeń w związku z 200. rocznicą zdobycia Mont Blanc, mogłyby stanowić omawianej książki, w której towarzyszymy Janowi Pawłowi II w jego rozlicznych wędrowkach, śledzimy jego wyczyny turystyczne i sportowe, jego wyprawy narciarskie – od czasów szkolnych aż do lat niemal ostatnich.

Oczywiście przypomniane zostały jego bajeczne spływy kajakowe, wypadki rowerowe, wycieczki w Tatrzy za czasów duszpasterstwa akademickiego, kiedy zasłynął w całym Krakowie pasjonującym dysputami podczas wypraw pieszych, rowerowych, narciarskich, kajakowych... Książka ukazuje, jak Wojtyła, zwany familiarnie wujkiem Karolem, wykorzystywał to „duszpasterstwo”, by „być z ludźmi wszędzie oprócz grzechu”. Ojciec Święty ukazany został jako człowiek rozmiłowany w naturze, zwłaszcza w górach (o których twierdził, że są najbliższymi Bogu nie tylko z racji wyso-

kości, ale przez swój majestat i piękno). Reporter wydobyl nie tylko wiele przygód i anegdot, związanych z wędrownkami Karola Wojtyły jako księdza, biskupa, kardynała, papieża, ale – przede wszystkim – jego stosunek do stworzonego przez Boga świata i jego mieszkańców – ludzi.

Autor książki opisuje szlaki, którymi chadzał papież, z wyraznym znawstwem, sam bowiem od lat młodzieńczych z zapałem uprawia turystykę górską i świetnie jeździ na nartach. Jego książka ma charakter reportażowy. Staszek odnalazł i odwiedził w Polsce sporo osób bliskich Janowi Pawłowi II. Od niektórych, jak np. od Aleksandra Jagły otrzymał archiwum zdjęciowe. Cytuje wspomnienia wielu ludzi, którzy wędrowali z Wojtyłą jako księdzem, biskupem, kardynałem, w tym, między innymi, prof. Stefana Świerzawskiego, który przypomina, jak ten wspaniały Piechur Boży wstępował do pasterskich szałasów i gwarzył z góralami.

A jednak autor, przez swoją skromność, nigdy nie miał śmiałości wysłać swojej książki samemu Janowi Pawłowi II. Osobiście wręczył ją dopiero w 1998 roku podczas prywatnej audiencji w Watykanie.

Tymczasem papież określił książkę jako ważną i napisał, że świadczy ona „o Pana zamitowaniu do turystyki i dowartościowaniu jej znaczenia w dziedzinie wychowawczej młodzieży. Niech więc służy temu celowi i spotyka się z życzliwością czytelników”. Nie mylił się Ojciec Święty w swej prognozie – rzeczywiście kolejne wydania książki były w Polsce rozchwytywane, na pewno również ze względu na jej wymowę bardzo aktualną: istnieje wielka potrzeba budzenia w młodzieży zamiłowania do obcowania z naturą, by w niej odnalazła Boga, a także samą siebie, unikając w ten sposób takich zagrożeń jak alkohol, narkotyki, uzależnienie od internetu...

Obecne wydanie „Papieża, jakiego nie znamy” już w Kanadzie – stanowi dowód kochającej pamięci autora, który zęgnął się z odchodzącym w wieczność Wielkim Pasterzem, jak z kimś najbliższym. Zamieścił obszerne kalendarium jego życia i twórczości, a także ów przepiękny i ważny dokument, jakim jest testament, z którego wiele możemy się nauczyć. Szczególne znaczenie ma fakt, że cała ta opowieść o stosunku Jana Pawła II do natury jest jakby zatopiona we fragmentach poezji znanych polskich poetów, takich jak Kasproicz, Tetmajer, Staff, Wierzyński. Znalazł się wśród cytowanych poetów także sam Wojtyła – poeta, aktor, kardynał, papież, święty...

xxx

Staszek Stolarczyk ma zwyczaj wprowadzania w życie swoich marzeń, zwłaszcza tych najpoważniejszych. Jedno z nich ma kształt pięknie wydanego, niezwykłego albumu, który ukazał się pod honorowym patronatem byłego sekretarza papieża, kardynała Stanisława Dziwisza, polskiego ambasadora Zenona Kosiniaka Kamysza w Ottawie i byłego prowincjała polskich oblatów, Ojca Janusza Błażejaka, OMI.

Jakby w przededniu ogłoszenia polskiego papieża świętym, w 2012 roku – z inspiracji Staszka i w wyniku wielu jego zabiegów i starań polonijna firma „Fakty” wydała w Kanadzie album, który upamiętnia wszystkie pielgrzymki Jana Pawła II do Kraju Klonowego Liścia – zarówno te, które odbywał on jako kardynał Wojtyła, jak i te, które były nawiedzeniem Kanady przez papieża. To wyjątkowe, duże dzieło, nosi tytuł: „Papa, we remember You”... a więc „Ojciec Święty, pamiętamy Cię...” Wymowne zdjęcie z „Osservatore Romano”, przedstawiające zamyśloną postać Jana Pawła II, kroczącego z różańcem na tle jesiennego lasu – umieścił Staszek na obwolucie tego albumu, wydanego w czterech językach (polski, angielski, francuski, włoski). I tu znovu nawiązał do natury, do odpoczynku i turystyki...

Zaczynając od początku bliskich, serdecznych kontaktów Jana Pawła II z Krajem Klonowego Liścia – od pierwszej podróży jeszcze kardynała Karola Wojtyły do największych ośrodków polonijnych w Kanadzie w 1969 roku – album prowadzi nas aż do wizyty ostatniej w 2002 roku. Od kolorów aż się mieni – wielkie fotografie obrazują, jak wszędzie witały go tłumy, jak lgnęły do niego dzieci,

jak zewsząd spotykał się z najwyższą atencją i radością Polaków na obczyźnie i Kanadyjczyków.

Album niejako uzmysławia, jak ten Pielgrzym z polskiej ziemi niósł światu miłość – jego wielkość była przede wszystkim wielkością serca. Odbierają to uczestnicy pielgrzymek niemal osobiście, widać, że każdy czuł oddziaływanie jego potężnej osobowości, pełnej spokoju i dobroci. Oddają to swą atmosferą i zawartością merytoryczną wielkie, zamieszczone w albumie fotografie oraz ważne cytaty z wypowiedzi papieża.

Zdjęcia pokazują, jak nachylał się nad chorymi i dodawał im otuchy, a cytaty – jak widział ich godność. W Montrealu, podczas kolejnej pielgrzymki, przypomniał: „Miłość bliźniego – to szacunek i otwarcie się na potrzeby biednych”... W Winnipegu powiedział: „Wartości osoby ludzkiej nie mierzy się sprawnością fizyczną czy umysłową”. Widział cierpienie jako potencjalne źródło moralnej siły, co później on, Pielgrzym, zaświadczył własnym życiem...

Szczególnie przejmująco i pięknie pokazane zostało w albumie: „Papa, we remember You...” spotkanie papieża z Indianami w Midland i w Yellowknife w czasie owej pielgrzymki z 1984 roku, gdy powiedział wówczas: „Znam wdzięczność, jaką wy, Indianie i Eskimosi żywiście do misjonarzy, którzy tu z wami żyli i umarli”. Wódz Indian zarzucił na ramiona Jana Pawła II swoją kurtkę ze skóry tosia, zdobioną w indiańskie wzory...

Fatalna pogoda i mgła uniemożliwiły wówczas lądowanie helikoptera i odbycie zaplanowanego spotkania z Indianami w Fort Simpson. Taka okazja nadarzyła się podczas pielgrzymki w 1987 roku do USA. Wtedy doszło do zaległego spotkania papieża z Indianami, Inuitami i Metysami w Północno-Zachodnich Terytoriach Kanady. Aby w nim uczestniczyć Stanisław Stolarczyk przemierzył samochodem z Ottawy całą Kanadę...

A tam był świadkiem nieprawdopodobnego niemal cudu natury, gdy wraz z pojawieniem się Wielkiego Pielgrzyma deszcz przestał lać jak z cebra, co miało miejsce od pięciu dni, a pojawiła się tęcza i rozbiły słońce... A gdy po odprawieniu Mszy św. Jan Paweł II odjechał obdarowany przez Indian „Kartą Indiańskich Narodów” dla uczczenia jego pochodzenia pisaną po polsku – znowu zaczęło od nowa padać.

Ważne, że ten fascynujący edytorsko album uzmysłowił nam, dzięki niezwyklej szacie graficznej Zenona Nowackiego, podstawowe prawdy i piękno papieskiego pielgrzymowania po Kraju Klonowego Liścia. Oglądając go i czytając rozumiemy jeszcze raz od nowa, że nadzieja, którą jako nakaz zostawił nam ten Wielki Lider – to ufność w możliwość zbudowania lepszego świata, w którym króluje miłość.

Jak widać postać Jana Pawła II należy do największych fascynacji życiowych Stanisława Stolarczyka, który wydał już następny album, pt.: „Papa, we are with You...” – „Ojczy Święty, jesteśmy z Tobą...” – i mówi o kolejnych wydawnictwach, związanych z osobą naszego najwybitniejszego Polaka.

xxx

Chyba udało mi się udowodnić, dlaczego Stolarczyk mieszkając w Kanadzie, nie czuje się odewany od Polski. On ma swoje miejsce w dwoistości kultur jako reporter i pisarz. A również jako naczelny tygodnika polonijnego „Czas-Związkowiec”.

– Kilkanaście lat temu tygodnik „Związkowiec” (czasopismo Związku Polaków w Kanadzie założony w 1933 roku), przeżywał bardzo poważny kryzys... Pojawiły się głosy aby go zamknąć... To najłatwiejsze... – komentuje Stolarczyk i dodaje: – A co z przywiązanymi doń czytelnikami? Postanowił nie oddać tak związanego z polonijną tradycją pisma walkowerem, złożył propozycję wzięcia czasopisma w dzierżawę i po kilku latach pracy i wyrzeczeń udało mu się wyprowadzić je na „prostą”. Później dołączył do „Związkowca” niezwykle zasłużony w Polsce, powstały w 1934 roku w Winnipegu – „Czas”. Dzisiaj „Czas-Związkowiec” jest liczącym się i opiniotwórczym